

FRANCISZEK MIRANDOLA

Gościniec dusz


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

Gościniec dusz

Czarne zwały fal przelewały się niespokojnie, dęły się i rozluźniały na przemian, podobne muskułom olbrzymiego ciała gorączką trawionego, podobne rytej histerią twarzy, myśli wichrem bruźdżonemu czołu... na grzbietach fal biała strzępiła się piana.

Pociemniało już stare, odwieczne niebo, pustynia, kędy tyle od wieków przemieszkowało stworów dziwnych, ciągle innej postaci, ciągle pożądanych tym pelzającym po dołach bogotwórczym... tym, jako morze ustawną targanym udręką.

Noc nachodziła świat burzliwa, zdradna¹, żądna łupu, kryjąca zamachy w sobie, do złego skłonna...

Pomału, ostrożnie zstępując ze śliskich grzbietów fal w parowy płynne, migotliwe nawet w pomroce, to znów dźwigając się na wyże, nie wiadomo skąd się jawiące, po szafirowym morzu sunął wielki okręt.

Śmigłe maszty darły się w górę, wydymały się białe, na zieleni ciemnej toni żagle, skrzypiały na wietrze reje, a z pokładu zapelnionego tłumem ludzkich postaci dochodziły dźwięki poważnego hymnu o modlitewnych akordach.

Na pomoście przednim, wysoko, widoczny wszystkim innym stał kapłan w białą ubrany szatę.

Orlim wzrokiem śledził horyzont, zaś u stóp jego na marach pokrytych białym płótnem spoczywał człowiek uśpiony czy zmarły, nie wiadomo.

Wiatr powiewał szerokimi rękawami szaty kapłana, iż wydawało się, że uleci w przestworze na skrzydłach uniesienia wewnętrznego, niby przedziwny duch — albatros, pan mórz nieprzebytych...

Rytm hymnu, zda się, nie wiatr, nie podwodne prądy niepokoiły fale.

Akordy kładły się czasem, by² dłonie przyjacielskie na spiętrzonych, zadzierzystych grzywach i wtedy pod ich lekkim, a możliwym uciskiem, strzępiste, garbate grzbiety miały się w płaszczyzny lśniące, podobne podstawom jedwabnych tkanin rzuconych na powietrze. Czasem znowu ton tętniący, mocny, rozpędzony wpadał, zatapiał się dziobem w ton, pruł ją, rozdzierał, głębił się³, sięgał... aż czerwona jawiła się posoka fali, a on szedł coraz dalej, dalej, aż na dno, aż gdzieś... gdzieś...

Chór śpiewał:

O Panie, o Panie!

Kędyż posłałeś nas, wichry swoje?

Kędyż na wielki bój, płyniemy oto o ciemku duchy ducha niosące, drogą przeznaczonych, niepisanych nawet w snach duszy człowieczej!

Jako oddech TWÓJ jest świat, jako tchnienie TWE jawi się życie i jako nicość jest, gdy zechcesz, a wciągniesz w głąb swoją wszystkie jawy, wszystkie znaki Bytu.

Oddechem BRAHMY jest to, co jest, a nic prócz tego w przestrzeni.

O Panie! Kędyż wysłałeś nas, tchnienia swoje?

Kędyż na wielki bój na spełnienie chwili następnej płyniemy o ciemku, duchy ducha niosące, bezmiernym gościńcem stawania się, szlakami, kędy

¹zdradny (daw.) — dziś: zdradziecki. [przypis edytorski]

²by — tu: niby, jakby. [przypis edytorski]

³głębić się — zagłębiać się. [przypis edytorski]

nie stąpa nawet myśl śpiącego u stóp tronu TWEGO archanioła... Kędyż o Panie!...”

Fale szły coraz to wyżej, rozchylało się głęboko morze, jak rozdzierający szaty swe trwogą, bólem, rozpaczą, męką czekania i niepewności targany człowiek.

Zawył wiatr, uderzył czołem w płonący nisko ponad wodą hymn stary, zwinął się z nim, zmieszał, omotał go sobą, zwichrzył i poroztrzącał akordy niby wilk, co skowyttem porazi śpiew idących lasem kompanii pobożnych o mroku.

Czyliż dalekie, czy bliskie lądy, gdzie paść ma ptak zdyszany, dusza niewcielona... czy bliskie?

Czyliż zaśnionym będzie słoń światem w doły rozliczne wpadając, czyli będzie krwawe zostawiała tropy za sobą?

Czy może wybiła godzina światłości dla promienia idącego przez czerni międzygwiezdną, od bytu do bytu?

Czy wybiła godzina jaśnienia?...

Kapłan wznosił w górę białą dłoń, połyskliwą jak mewa na mroku. Gdzieś daleko, niewidzialna człowieczym oczom ukazała się na widnokręgu wyspa.

Dwaj młodzieńcy w białych tunikach pochylili się nad leżącym u stóp kapłana, marynarze spuścili zawieszoną z boku łódź. Gdy się zakolysała na falach, rozwinięto sznurową drabinę i zniesiono ciało zmarłego, czy zaśnionego, ostrożnie na dół, a młodzieńcy stanęli przy leżącym w głowach i u stóp jego, jako dwa cheruby pilnujące arki świętych tajemnic.

Ponownie zablęskły na czarnym niebie białe ręce kapłana, tak białe i świecące, jakby promienna w nich krew płynęła... a łódź odbiła od okrętu.

Ślizgała się po ścichłym nagle morzu, które przycisnęło się w wielkim oczekiwaniu, a górą płynął hymn prastary powoli, majestatycznie, niewstrzymanie, zwycięsko.

Nad morzem na piaszczystym wybrzeżu jęczał pod razami człowiek.

Dwu tęgich oprawców smagało pletniami jego plecy, a smagając, szydzili:

— Masz oto proroku od wiernych swoich! Masz oto na pamiątkę od wielbicieli! Przyjmij, co dajemy wdzięcznym sercem!...

Ponoszący kaźń stał z otwartymi ustami, głową wstecz odwróconą, na poły przymknionymi⁴ oczyma i stękał głucho.

Zbudzony ze snu o ranku, po kilkudniowym więzieniu miał być wypuszczony, ale przedtem jeszcze wymierzono mu plagi.

Liczył je w duszy, nie wiedząc, na ile wyrok opiewa, liczył i wyczekiwał końca.

— Dwadzieścia jeden... aaach... dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... Boże, Boże!... — szeptały zbielałe wargi.

Nagle osłabł, upadł na kolana, a głowa jego opadła na belek⁵ porzucony na piasku wybrzeża.

Posypały się pletnie na leżącego, ale on jeno⁶ na poły czuł ból.

Nagle światło jakieś zjawilo mu się pod powiekami.

Rozwarł oczy.

Hen tam daleko, na ciemnym morzu, pośród zwichrzonych fal, nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd, płynął wielki okręt. Ciemny kontur, olbrzymią sylwetą odcinającą się na powietrzu brzeży a jasny nimb zaś na przednim pomoście jaśniała biała szata kapłańska i błyszczwały ręce wysoko wzniesione, błogosławione ręce, udzielające rozgrzeszenia.

Szeroko rozwartymi oczyma patrzył, patrzył, pił ten widok, nie rozumiejąc go wcale...

— Dwadzieścia siedem... dwadzieścia osiem... — liczyli oprawcy. Nie czuł wcale, dusza cała poszła ku zjawisku i pytała, idąc ku niemu:

— Ktoś ty?

A zjawisko odpowiadało głosem cichym, przekonywującym: „Pokój tobie, o tęskniący... pokój i cześć twemu bólowi, bowiem on ziszcza przyszłość... bowiem on mnie sprowadza, przeciągając mocą nieprzepartą z przestrzeni wszechświata”.

⁴przymkniony — przymknięty. [przypis edytorski]

⁵belek — dziś r.ż.: belka. [przypis edytorski]

⁶jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Ogromna radość zalała duszę udręczonego. Kwiat bólu począł śnić, iż wyda owoc czasu sobie właściwego, zawołały tedy usta: „Więc ty jesteś śmierć, wyzwolenie?”

A od okrętu wiatr poranny przyniósł tejże chwili cichy, spokoju dokonanego dzieła pełny akord:

„Oto bije godzina światłości dla promienia idącego ode mnie!
Oto utracony jest koniec śmierci, oto wieczyste zmiłowanie postawiło
stopę na paszczy ciemności i zawarła się na wszystkie czasy...”

Tej samej chwili przybiła do piaszczystego brzegu łódź z zaśnionym człowiekiem.

— Czy kończyć? — pytał jeden oprawca drugiego, spoglądając na martwo leżącego skazańca.

— Nie ma potrzeby... myślę. Chodźmy!
I poszli ku miastu.

Otoczyli go ludzie, domy, wszedł w życie zadziwiony i nierychło nauczył się nie okazywać zdumienia, jak to czynili inni. Tak mniemał bowiem, że wszyscy udają obojętność, będąc ciągle w duszy olśnionymi i zdumionymi tym, co umyślnie... może umyślnie.

Jestem! Cud wielki, niepojęty! Skąd wyszedł rozkaz: bądź! I oto jestem! Kto wydał rozkaz, kiedy i czemu? Oto pytania pierwszej wagi.

I ślubował sobie nie spocząć, dopóki tych pytań nie rozwiąże, czując słusznie, że niegodnym jest żyć, przyjmować gościny na ziemi, nie wylegitymowawszy się: jestem ten, a ten!

Ale gdy zwierzył się jednemu człowiekowi z tego postanowienia, ten roześmiał się i rzekł mu:

— Umrzesz tedy niebawem. Zamęczysz się.

Bardzo go to zmartwiło.

— Cóż tedy mam czynić? — spytał człowieka onego.

— Zapomnieć! — odparł tenże. — Zapomnieć albo...

— Albo co? — zagadnął chciwie.

— Albo przyjmując naukę.

— Jaką naukę?

— Jedną z wielu. Najlepiej przyjm naukę dnia, co płynie. Ona najlepiej zasłania pytania wszelkie.

— Jakaż ona?

— Powiada: wyrosliśmy jako drzewa owe, z gleby ziemskiej powstaliśmy, jako wszystko powstaje z prochów przodków naszych. Należymy wszyscy do jednego bractwa nicości i przemijamy bez echa jak przemija ton trąby w lesie, jak mija kształt zasy snieżnej pod promieniami wiosennego słońca.

— I to wystarcza? — zdziwił się.

— Naturalnie. Zwłaszcza gdy się tym człowiek przejmie od dziecka. To niezmiernie, uważasz, uspokaja, to jest społecznie bardzo pożyteczne, toteż król, pan nasz miłościwy, wydał edykt, mocą którego znosi się wszystkie uprzednie nauki, zakazuje się na razie wszelkich innych tłumaczeń zasadniczych zagadnień bytu... aż do dalszego rozporządzenia. Tak. To ostatnie zastrzeżenie wskazuje, jak bardzo jesteśmy postępowi, przezorni. Ustawa owa, którą ci przytoczyłem jest wynikiem unii zawartej pomiędzy kościołem naszym, który zarzucił dogmat władzy świeckiej i nauki... Wprawdzie nie ulega kwestii, że dla siebie... święte nasze kolegium kapłańskie posiada jeszcze inne jakieś tłumaczenia... Nie ulega kwestii, że są pewne domysły oparte na prastarych podaniach i rzekomo nawet doświadczeniach. Jeśli tedy masz ochotę, poznaj się z tymi rzeczami o ile zdołasz, ale przestrzegam cię, że zajmowanie się tym pociąga złe skutki, odbija się na karierze osobnika po prostu fatalnie... fatalnie... Oto weź na przykład, żebrak spod klasztoru WIELKIEGO MIŁOSIERDZIA. Człowiek ten mógł zejść bardzo daleko... ale żegnaj mi! Widzę, że zbliża się jego wysokość Przynaglacz Pracy. Zmykam! Zmykam, inaczej dostanę kreskę w KSIĘDZE SPRAWIEDLIWEJ OCENY.

Lubił przesiadywać nad morzem. Próżnował, jak mówili ludzie, po całych dniach i gapił się bez celu.

— Czemu? Czemu? — jęczała jego dusza. A w KSIĘDZE SPRAWIEDLIWEJ OCENY czerniło się od kresek na jego stronicy.

Często otaczali go ludzie. Przystąpił naprzód jeden i zagadnął:

— Nad czym to dumasz Istagogu? Powiedz.

— Nad daremnym, zabronionym pytaniem, Chloerze pracowity. Nad tym, kto wydał rozkaz, bym się stał, kiedy się to stało i czemu się stało?

Pracowity robotnik kiwnął smutnie głową i szeptał drugim, o czym duma Istagog, który myśli za ludzi.

Tak się zbierały czasem spore tłumy, pośród nich pojawiał się zaś niekiedy mądry Saceidos i wstąpiwszy na kamień jak i albo belek porzucony przez fale, mówił.

A mówił różnie. Czasem podawał w wątpliwość urzędowe tłumaczenie istnienia świata i ludzi. Czynił to w porze poobiedniej zwłaszcza, kiedy Wielki Przynaglacz pracy odprawiał swą sjęstę i w czasie takim rozwodził się szeroko, jakby ksiądz na kazalnicy. Często śród przemowy urywał z nagłą, jakby coś chciał powiedzieć ważnego, coś co rozbija wszelkie wątpliwości, coś naocznego chciał przytoczyć, ale właśnie to najważniejsze nie mogło być widać wyrażone po ludzku, czy też nie było w jego duszy gotowe... dość, że w takich razach cichł nagle i znikał pomiędzy tłumem.

Częściej atoli Saceidos śpiewał tylko żałośliwie zwrócony ku morzu o nimfie tęsknocie, która wygnana z Przybytku Światłości nie mogła zapomnieć drogi do niego, może przez pomyłkę anioła wymierzającego karę, a może nawet umyślnie... może umyślnie.

Zgorzkniały, wielokrotnie karany chłostą i więzieniem za tłumaczenie niewytłumaczonego, Saceidos mniemał, że stało się to umyślnie, ze złośliwości jakiejś straszliwej, zaś wyrok opiewał: na całą wieczność!

Kiedy tak razu pewnego zebrany był tłum nad morzem, w dali ukazał się silny oddział żołnierzy. Stąpali rozgłośnie, nad ich głowami falował w wietrze proporzec królestwa, a od złotego jego ostrza spływała na dół czarna krep.

Rycerstwo niosło zwłoki króla, który tej właśnie nocy zmarł ze starości. Umieszczone były w złotej łodzi krytej, blachą huskową obitej i miały być wedle prastarego obyczaju puszczane na fale wraz z odpływem morza.

Na czele pochodu kroczyli biali młodziankowie, niewinni, prawie dziecięcego wieku, sposobiący się do tajemnic urzędu kapłańskiego, za nimi zaś połyskiwały rogaty, w kształt półksiężycy wycięte czapki wtajemniczonych stróżów arki.

Pochód dotarł do wybrzeża, utworzono olbrzymie koło, pośrodku niego ustawiono na ziemi pogrzebną łódź i rozpoczął się uroczysty obrzęd.

Odplynieś oto zanim minie dzień i noc zapadnie,
Odplynieś jako kropla w wielki źródło wot swój,
Odplynieś jako kropla w wielki źródło
I spocznieś kędyś TAJEMNICY na dnie...

Tak zawodził chór śpiewaków.

Ledwo posłyszał te pierwsze słowa człowiek zwany przez tłum Istagogiem, zapadł w rozmyślanie tak głębokie, że nie widział już, co się koło niego dzieje.

Oto już w pierwszej zaraz strofie prastarego hymnu pogrzebnego bez trudu odnalazł on prostą, dziecięcą, nieprawdopodobnie prostą odpowiedź na pytanie dręczące od dawna nie tylko jego, nie tylko jego... Wszakże każdemu zmarłemu, ten sam hymn nuconym jest od wieków... Czegóż tedy chce żebrak, za czym wzdycha tłum? Cóż zostaje z marnego oficjalnego tłumaczenia? Jedna strofa pieśni zwyciężyła całą, długą, forsowną pracę rozumu czy złej woli...

Na co wreszcie cała ta komedia? Na co to wszystko... kiedy przecież tam w dali... Tak mówi serce.

Nagle uczył, że ramienia jego ktoś dotyka.

Spojrzał. Wciśniony⁷ w tłum, tak pochylony, by go nikt nie widział, stał przed nim biali młodzian w wieńcu z róż na złotych kędziarach. Zdumiony Istagog patrzył i nie

⁷wciśniony — dziś: wciśnięty. [przypis edytorski]

wyciągał ręki, chociaż młodzian podał mu przedmiot jakiś mały. Wiedział, że nie wolno go dotykać, gdyż jest czysty i poświęcony Bogu.

Młodzieniec upuścił u nóg Istagoga mały zwitek papieru, potem wskazał w stronę kolegium kapłańskiego, zgromadzonego koło trumny króla i zniknął w ciżbie.

Istagog spojrział i ujrzał skierowany na siebie wzrok arcykapłana.

Wysoki mężczyzna ubrany w wielką ciemnoszafirową tiarę z białą gwiazdą pośrodku, mierzył go wzrokiem, a Istagogowi wydawało się, że mówił:

— Czytaj!

Podjąwszy tedy zwitek papieru, przeczytał:

Z człowiekiem zadumany wśród tłumu nie mogą porozumieć się ci, którzy mogliby być jego szczęściem. Przyjdź dzisiaj o północy pod bramę klasztoru WIELKIEGO MIŁOSIĘRDZIA.

Instynktownie podarł kartkę na drobne kawałki i poszedł, szukając miejsca, gdzie by je po jednym powrzucić w morze.

O północy znalazł się u bramy klasztoru. Była zamknięta. Zapukał raz, drugi, trzeci... nadaremnie.

Księżyc świecił blado poprzez oponę chmur. Ze wzgórza, na którym stał klasztor, widać było morze smagane wichrem, który tam gdzieś daleko pędził przez rozchwiej samotną w tej ostatniej podróży opuszczoną przez wszystkich łódź-trunę królewską... pojazd ostatni.

Mijały chwile. Już miał Istagog odejść, niepewny, czy rzecz cała nie była złudzeniem, gdy w górze ponad głową, wysoko spostrzegł małeńkie w grubym murze wycięte okienko, w którym połyskiwało światło. Ledwo je dostrzegł, głowa czyjaś wyrzała i głos jakiś rzekł mu:

— Obejdź klasztor wokół i zobacz, czy kogo nie ma w pobliżu.

Nie było nikogo. Powrócił i zdał sprawę.

Wtedy u stóp jego upadł klucz.

Arcykapłan nacisnął guzik w murze i natychmiast rozstąpiły się ciężkie głązy. Z ciemni buchnęły jarzące wielobarwne promienie. W świetle kaganka bezcenne klejnoty połyskiwały wszystkimi kolorami tęczy, rudo krwawiły się długie, ciężkie sztaby złota, cienie wielokształtne nieprzeliczonych, rozmaitych naczyń drogocennych, sadzonych kamieniami łamały się po sklepieniach.

Arcykapłan mówił:

— Patrz! Oto skarby mocą naszą z dna morza dobyte. Oto naczynia obrzędowe wygasyłych doszczętnie, wynicestwiających kultów czasów tak odległych, że przeszłości tej umysł ludzki boi się dać wiarę, w snach swoich dopuścić marzeniom o onych bóstwach przedziwnych i ich wielkiej, dziś niepojętej potędze.

Wystarczy wziąć jeden z tych oto kamieni, ten na przykład szafir niewielki z napisem w zaginionym języku.

— I co... co? — spytał poządlwie.

— Wystarczy... to jest wystarczyło im, dawnym mędrcom świadomym rzeczy, wobec których wszystko, co my wiemy, jest niczym, wystarczyło im położyć ten kamyczek na czoło, a stawała przed oczyma jasnovidza przyszłość cała i przeszłość, co bliskie stawało się dalekie, a co odległe przybiegało na wezwanie z drugiego krańca wszechświata. Czytać mogli oni czas i przestrzeń międzygwiazdną nieogarniętą, jak my książkę w znanym nam języku napisaną.

— A teraz! — wykrzyknął.

— Teraz te wszystkie rzeczy, które dla praojców naszych były literami wielkiego dzieła, klawiszami niezmiernego organu w kościele Bytu, teraz to wszystko, to tylko skarby bezcenne, to tylko majątki niezmierne, za które można kupić zabójcę króla, wystawić wojsko dla napaści na kraj sąsiada, kupić żonę przyjaciela, zapłacić zdrajcę kraju rodzinnego. Wszystko to, to jeno ziemskiej, małej środki potęgi, nieudolnej tam, gdzie trzeba zmierzyć się z tym, co poza grobem, nieudolnej rozświecić ani jednym błyskiem tych

niezmiernych ciemni, jakie istnieją za kręgiem życia naszego. Wszystko to tylko zwłoki cudu...

Trupem jest ten wielki opał wyjęty z oka Kali i złoty posąg samej Kali też jest trupem. Dusza tych rzeczy zgasła, znikła, jak znika cały świat, gdy pociemnieje słońce. Po omacku chodzimy tu wszyscy, nie widzimy wcale, jeno rękami dotykamy zimnych twarzy trupów. Oto nasz świat, oto mądrość nasza, oto wiedza. Nie wiemy nic, podobnie jak tłum tęskniący i podobnie jak on siedzimy nad morzem bezmiernym i płaczemy słońca.

Odplyniesz oto zanim minie dzień i noc zapadnie...

Odplyniesz w dal gdzie wszystko wzięło swój żywot...

— Stara to pieśń, bardzo stara, i także trup. Przyjrzyj jej się, a spostrzeżesz, że ani słowa nie rozumiesz. Tak jest ze wszystkim. Dawniej słowa co innego znaczyły, co innego mogły. Mówisz: morze. Ależ ono zbadane zostało jak najdokładniej przez żeglarzy naszych. Dal? Znamy ją wybornie w każdym calu. Zmierzyliśmy odległość gwiazd stałych, znamy ich skład chemiczny, z wieloma światami zamieszkałymi utrzymujemy stałe stosunki, nasze aeroplany wychylają się nieraz poza sferę powietrzną otaczającą nasz glob ziemski... a mimo to możemy jeno powiedzieć, że znamy zaledwie ściany więzienia naszego, kędy nas ktoś na jakiś nieokreślony czas zamknął, nie wiemy zaś nic o rzeczach zewnątrz murów istniejących, nie wiemy nic... nic... tylko tęsknimy. Ktoś trafnie wiek bieżący nazwał czasem przerażającej tęsknoty i niepokoju.

Zapanowała cisza. Żółte światełko latarni skakało po szarych murach pod wiewem jakiegoś wiatru, a rogatą szafirową czapką nakryta głowa arcykapłana chwiała się podobnie. Po chwili zaczął cichym głosem, który wnikał w duszę:

— Czasem tylko... bardzo rzadko... raz na wiek cały zjawia się człowiek, który chwilami ma władzę spojrzenia poza mury. Czasem, wiatr jakiś zaziemski na ziemię przyniesie liść z drzewa poznania zerwany, z tego wielkiego drzewa, które symbolizuje w sobie życie, jak mówi prastara legenda... Nikt nie wie, kiedy się to stawa⁸ i dlaczego... Nikt nie wie, kto i czemu bywa posłańcem innych światów, nie wiemy nawet, czy przestrzenią czy inną przeszkodą światy te od naszego są oddzielone. Przychodzi taki człowiek i nie ma z ludźmi nic wspólnego, jest samotny i dziwi się życiu.

— Skąd wiesz arcykapłanie? — zdziwił się Istagogos.

— Stare zapiski — odparł arcykapłan — trochę obserwacji, ot i wszystko!

Długo milczeli obaj, a potem zapytał kapłan:

— Istagogu! Jest żeś ty owym samotnym posłańcem, który ma list dla ziemi, wieść, nakaz... którego nikt odczytać nie może?

Zapytany milczał.

— Dawniej — mówił dalej arcykapłan — nie poznawano owych ludzi i brano ich za wrogów, a przeto palono na stosach i krzyżowano. Oni zaś umierali, ucząc miłości. Jeno w tej formie potrafili wypowiedzieć swe posłannictwo, przeto ich nie rozumieli ci, co dopiero do nienawiści dorosli. Dziś wszystkie serca czekają, by poseł otwarł usta, by przemówił. Wzmogła się strasznie tęsknota i nie masz już pośród nas zawistnych. Utonęło co złe we wspólnej wszystkim męce czekania.

Nagle w duszy słuchającego głos jakiś zawrzaskał:

— Nieprawda! Nieprawda! On kłamie! Nie wygasła nienawiść między ludźmi! Nie wygasła!

Zdumiał się Istagog i spojrział nagle na arcykapłana. Stał pochylony, wpijając się weń wzrokiem, a oczy jego, wbrew słowom pałały żarem pożądania. Głos łagodny i słodki płynął tymczasem jak pieśń:

— Wniknij w siebie — szeptał najwyższy dostojnik sanhedrynu — wniknij w siebie! Nie wolno zapoznawać powołania swego. Odrzuć precz pokorę, bo byłaby tutaj zbrodnią... Powiedz... Jest żeś ONYM?... Pomyśl tylko... lud cię otacza miłością, masz za sobą wolę ludu. To wiele. To niezmiernie wiele. Nie posiadał tyle, mimo swych skarbów, król przedwczoraj zmarły... Powiedz... Jest żeś ONYM...?

⁸kiedy się to stawa — dziś: kiedy się to staje. [przypis edytorski]

Istagogos milczał ciągle, głębiąc się bowiem we wnętrze swego ducha, nie odnajdywał w nim odpowiedzi na pytanie, widział tylko tam tęsknotę, słyszał tylko akord hymnu modlitewnego.

— Nie zawsze jest dane człowiekowi wiedzieć jasno... — zaczął.

A arcykapłan ciągnął dalej:

— Jeszcze nie wiesz nic Istagogu. Czyny twe własne muszą przemówić do twojej świadomości. Przeto mówię ci: chciej! Reszta przyjdzie sama z siebie.

— Chcę! — wykrzyknął Istagog silnym głosem.

— TEDY zostaniesz królem.

— Ja? — zapytał oszołomiony.

— Tak. My, najpotężniejsi w królestwie, my wtajemniczeni, my stróże arki tajemniczej, oddamy ci w ręce berło władzy.

— Wy? A cóż ja mogę dać wam w zamian, ja biedak, który nie wie, skąd się wziął tutaj, który za całą dań życia ma jeno jakieś widziadlane wspomnienia, jakiś zabłąkany w sercu akord innego świata... ja parias, ja skazany na wieczystie jedną tułaczkę po drodze wiodącej do PRZYBYTKU WIELKIEJ ŚWIATŁOŚCI...

— Ty, parias, ty skazaniec dasz nam, potężnym, twe wspomnienia widziadlane, wyśpiewasz nam akord innego świata zabłąkany w twej duszy, a my ci oddamy za to wszystką potęgę tej ziemi, całą moc władania ludźmi i rzeczami, pośród których idziesz zadumany nad początkiem swoim.

— I czemuż to? — spytał lekliwie i z wielkim zdziwieniem.

— Dla samego właśnie dobra tych ludzi i rzeczy, których dziedzicznymi kierownikami jesteśmy od wieków my, święte kolegium.

— Tedy zostawcie mnie, gdzie jestem, a jeśli zdołam coś odczytać w duszy własnej, powiem wam... powiem całemu światu dla jego dobra.

— Wiem to, spodziewam się i dlatego wzywam cię: złóż w moje ręce przysięgę, że nikt nie dowie się od ciebie ani słowa!

— Nikt, dlaczegoż to?

— Słuchaj! Czy dałbyś szalonemu albo dziecku miecz ostry w rękę? Nie. Otóż wiedza twoja byłaby mieczem i zagładą, nie dobro rozszerzyłaby po świecie, oddana w moc tłumów zawistnych i żądnych posiadania. Z potęgi zdolnej poruszyć ziemię z posad, z wiedzy tej uczyniono by szal straszliwego użycia, chaos piekielnych uciech, w których świat spłonąłby dnia jednego, jak garstka słomy na ognisko rzucona.

Nie czekając odpowiedzi, pochwycił arcykapłan pałkę wiszącą u ściany i uderzył nią uroczyście trzy razy w wielki złoty gong.

Natychmiast nappełniła podziemie światłość wielka i muzyka rozbrzmiała wspaniała. Jakby cudem zjawili się lewitowie, biali, strojni rycerze, dziewczęta z koszami pełnymi kwiatów, sztandary zwinięte i pochylone w podziemiu, gotowe szeleścić w powiewie morskiego wichru.

— Skąd się to wzięło? Skąd wiedziałeś?

Zdumiony Istagogos oglądał się za kapłanem, szukał go oczyma, ale nie mógł dojrzeć. Zresztą nie dano mu dumać, posadzono go w krzesło nośnym i pochód ruszył.

— To sen, to sen — rzekł cicho do siebie.

— Wszystko jest snem — odpowiedział mu z pobliza głos jakiś. — Błogosławiony ten, który pamięta sny swoje i buduje z nich życie.

Tearcha mieszkał we wspaniałym pałacu wzniesionym na wysokiej górze, skąd się widziało całą wyspę i wielką, nieogarniętą roztocz morza. Świtę jego stanowili młodzi lewitowie, czujni, cisi, zakamieniali w ekstazie pełnienia obowiązku, a przeto nieposzlakowani.

Kiedy siedział na złotym tronie smutny był, czuł się więźniem, kiedy odbierał hołdy poddanych, czuł się manekinem, formułką bez treści. Wszystko, co go spotkało, było jak sen, a czyż można walczyć z ułudą?

Wolnym czuł się jeno w nocy, wonczas kiedy posnęli wszyscy, chciwie wsłuchani w każde jego słowo, usiłujący myśli w locie rozpoznać i przytrzymać na to, by uczynić z niej... ach tak wiedział już teraz... by uczynić z niej narzędzie władzy, środek panowania.

Raz, o wczesnym ranku, podczas przejażdżki, smutnymi wodził wokoło oczyma. Przechodzący, śpieszący do pracy spoglądali ponuro na pojazd królewski. Lud, który go jeszcze tak niedawno miłował, który go słuchał tam nad morzem, nieufny stał się, miał się widocznie za zdradzonego...

Istagogos spostrzegł przy drodze siedzącego na kamieniu Saceidosa. W podartą suknię ubrany żebrak miał złośliwą minę. Widać go znów niedawno oćwiczono. Rzucił on Istagogowi takie spojrzenie, że nie mogąc dłużej znieść tego, Tearcha kazał zatrzymać konie.

Skinął na starca, a gdy ten się zbliżył, podał mu król pierścień i chciał się wytłumaczyć. Ale ledwo otworzył usta, jakby spod ziemi wyrosli biali lewitowie, stanęli zwartym kołem u powozu, tak że zdołał on jeno wykrzyknąć, w chwili gdy pojazd ruszał:

— Zawsze ten sam, wierzcie!

Reszta utonęła w rozgwarze donośnej fanfary trąb, które witały zawsze każde królewskie słowo i szczękę oręża rycerskiej świty.

Był to bardzo smutny dzień. Istagogos był więźniem. Przegrał, uczuł to dobrze, całą stawkę życia swego. Koło przeklęte zamknęło się za nim, ledwo w nie wstąpił. Był oto w rozgwarze sprzecznych interesów i omyłek, stał się ich źródłem, mimo woli zbudził nadzieje niezaszczalne niemal. Dziwna sytuacja zaiste. Naprzód zeskontowano jego mgliste wspomnienia, sny, domysły. Bolał go nad wyraz ten straszny przymus duszy, nad którą stoją pochyleni chciwcy, żądni byle fragmentu, słowa, byle strzępu myśli. I dlatego pewnie ona, ta dusza, stępieła, zawarła się dumnie, jak świątynia, do której chyłkiem skrada się po nocy złodziej bluźnierca... Męka, codzienna męka! O, jakimże prawem krzyknął im dzisiaj: „Zawsze ten sam!”. Nie jest już ten sam... O nie! Jako pęk był, który się nie okwiecił. I oto porwały go brutalne ręce, brudne palce rozdarły oponę delikatną, sięgły maleńkich płatków korony i poodwracały je przemocą na to, by przymusiwszy do rozkwitu ustawić na biesiadnym stole użycia, gdzie wino cieknie strugami, gdzie twarze pijanych przywarły do obrusa i toczą bezprzytomnymi oczami, a usta wołają: „Zaczynać, zaczynać!”... jak na widowisku. Jako pisklę był dotąd, które w jajku rozwarło oczy. Jako oprawcy wzięli go ludzie, rozbili skorupkę i trzymając pod słońce badają ściśle i pytają: „Powiedz, co widziałeś, a my ci za każde z twych słów zapłacimy doskonałą cenę. Powiedz. Zapłaty takiej nie brali dotąd prorocy tej ziemi”.

„Powiedz, bo jesteśmy zdecydowani zasypać cię złotem i klejnotami, jako stać nas, potężnych stróżów tego zewłoku arki świętej, z którego uciekła dusza, owej pustej skrzyni, w której gospodarzą myszy jeno i szczury”...

Uczuł, że nie zdoła przebić muru odgraniczającego go od świata żywych. Od tego też dnia począł się uważać za zmarłego. O wymknięciu się z niewoli nie było co i marzyć, pokusić się o wywiedzenie w pole kapłanów także wydawało się szaleństwem. Ale lekceważąc odtąd począł Istagogos swych wrogów i nie przyjmował już arcykapłana codziennie, jak to miało miejsce dawniej, kiedy był przekonany o jego szlachetnych zamiarach. Zostawiono go w spokoju, strzegąc pilnie.

Raz noc nadeszła czarna, bezksiężycowa. Istagogos, odprawivszy służbę, rzucił się w ubraniu na łożo i zapadł w smutną zadumę.

Zrazu barwnym pochodem przeciągał przed oczyma jego duszy dzień dzisiejszy. Wszystkie szczegóły życia ujrzał z wielką wyrazistością, słyszał każde z wyrzeczonych słów, jakby je cud jakiś utrwalił w nim na wieki.

Wokół głęboka panowała cisza. Morze zda się zmartwiało pod czarnym, bezgwiezdnym niebem. Nie dochodził z tamtej strony szum zwyczajny. Jakieś ukojenie zapanowało czy otepiałość.

Mijały godziny, król leżał bez ruchu.

Dusza jego tymczasem powoli, powoli oddalała się, płynęła szarą dalą bez kształtów i nazwy.

Lampa raz jeszcze błysnęła światłem i zgasła. Czarny aksamit otulił wszystko szczerze, zdawało się, że z każdym westchnieniem wciąga się pył czarny, niezmiernie subtelny w płuca. I jakby płyn ten był wodą Lety, znikwały od niego zjawy wszystkie po kolei... to, co nazwy nosi nicestwiło się, zachodziło za chmurą nicości, wytrzebiały się lasy myśli, a na ugorzysko jałowe stępowała bezforma mgła NIENAZWALNEGO, NIEWYSŁOWIONEGO...

A wówczas, na tym tle jakby niebytu, gdy krew odpłynęła od wypoczywającego mózgu, gdy oddech spadł do szmeru niedosłyszalnego, a piersi zamarły bez ruchu, wtedy czarną nicością począł kołysać rytm jakiś.

Było to falowanie ciemni.

Było, jak kiedy DUCH BOŻY unosił się ponad wodami w przedstworzonej pustce.

Płynęła z dali fala tak lekka jak sen o przyptywie. Nastawał powoli prąd ku łądom nieokreślonym w języku jawy. Echowe rozbrzmiały stąpania... Czas niósł coś poprzez nicość na rękę, niósł je w darze spragnionemu, zdziwionemu sercu.

I poczęło serce promienieć. Szło naprzeciw oblubieńca ze światłem miłości w rękę.

Wezbrało rzewnością wielką, ukochaniem dziękczynnym, łkającym uwielbieniem.

Pojmowało już teraz, na co się stała nicość.

Tak niezawodnie, tak niezawodnie.

Z dali szedł hymn:

O Panie, o Panie,

Kędyż posłałeś nas, wichry swoje?

Kędyż na wielki bój płyniemy oto po ciemku, duchy ducha niosące, drogą przeznaczonych niepisanych nawet w snach duszy człowieczej.

Jako oddech TWÓJ jest świat. Jako tchnienie TWE jawi się życie... i jako nicość jest, gdy zechcesz, a wciągniesz w głąb swoją wszystkie zjawy, wszystkie znaki bytu.

Oddechem BRAHMY jest to co jest, a nic innego w przestrzeni.

Serce otwarło się, jak kwiat lotosu i chłonęło objawienie.

Wnikało kołysane rytmem w tajniki stworzenia, przemóglszy formę poznania nieodłączną, przewyciężywszy czas, patrzyło na stawanie się zjaw.

Pragnienia jego, by ręce w modlitewnym uwielbieniu, wyciągnęły się w dal z prośbą: „Wiem Panie, wszystko wiem, widzę aż do dna duszy każdej ubranej w ciało i tęskniącej w formie. Zaglądam kształtom wszelakim w oczy i widzę każdego, świetlny, nieśmiertelny powód istnienia... Czuję życie, jestem wszystko i nic poza mną w TOBIE... Dosyć Panie! Obawiam się, że ciało moje skona z miłości, dosyć Panie. Nie mów do mnie, bo spłonę na popiół, nie mów, zajmuję się płomieniem od każdego Twego słowa, od szeptu głuchnę boleśnie. Ginę. Przekroczone są progi możliwości...”

A hymn rozkołysał się jak dzwon. Ciemń grała:

O Panie, o Panie!

Kędyż posłałeś nas, tchnienia swoje?

Kędyż na wielki bój, na spełnienie chwili następnej płyniemy oto po ciemku duchy, ducha niosące, niezmiernym gościńcem stawania się, szlakami, kędy nie stąpa nawet myśl śpiącego u stóp TWEGO tronu archaniola...

Zamarło zmorzone, spłynęło potokiem łez wdzięczności serce.

A wówczas, jakby w ostatniej, przedskonnej sekundzie wid się ukazał:

Czarne zwały fal przelewały się niespokojnie, dęły się i rozluźniały na przemian. Podobne muskułom olbrzymiego ciała gorączką trawionego, podobne rytej histerią twarzy, myśli wichrem brużdżonemu czołu... Na grzbietach fal biała strzępiła się piana.

Pomału, ostrożnie stępując ze śliskich grzbietów w parowy płynne, migotliwe nawet w pomroce, to znów dźwigając się na wyże, nie wiadomo skąd się jawiące, po szafirowym morzu sunął wielki okręt.

Śmigłe maszty darty się w górę wysoko, wydymały się białe na zieleni ciemnej żagle, skrzypiały w wietrze reje, a z pokładu zapełnionego tłumem ludzkich postaci dochodziły dźwięki poważnego hymnu o modlitewnych akordach...

Na pomoście przednim, wysoko, widoczny wszystkim innym, stał kapłan w białą ubrany szatę i orlim wzrokiem śledził horyzont.

Wzniesione jego ręce jaśniały blaskiem białym, jak skrzydła mewie podlatywały szerokie rękawy szaty. Szukał oto po ciemni serca wołającego wzrokiem słodkim, a ostrym, widzącym wszystko, i znalazłszy je, ogrzał spojrzeniem i ukoił.

A serce szukało słów uwielbienia.

Obraz świata

— Jakże cię zwać mam RABI? Jakie słowo znaczy TY, jakie słowo CIEBIE znaczy, Panie? Zniknij, cień swój świetlisty zostawiając wiekom przyszłym, a wtedy może będziemy mogli ochłonąć i nadać ci imię pochwalne, które się zmieści w ustach naszych!

Jakby słońce spadło do komnaty, nagle rozbłysło wszystko jaskrawo, a z powodzi tej z fali, z gęstej jasności wyłoniły się dwie ręce i palce jakież dotknęły, by⁹ powiew wiatru, głowy jego.

Uczuł lodowaty prąd, znikło mu wszystko spod czaszki i tylko wiedział, że leci wysoko, że opuścił ziemię...

Powietrze rozdarł krzyk wielki. Istagogos rzucił się na posłaniu wysoko i padł na powrót zemdlony na pościel.

Drzwi komnaty rozerwały niecierpliwe ręce. Wpadł ze światłem arcykapłan i kilku lewitów, czuwających onej nocy nad spoczynkiem króla.

Istagogowi cichą, straszną śmierć głodową przeznaczono.

Mijał dzień piąty. Więzień leżał wyczerpany na twardych deskach łoża więziennego i myślał. Ale myśli jego osłabłe, zgłodzone snuły się po ziemi, złożywszy skrzydła na plecach.

W kaźni mrok panował ciemny, nie wiedziało się, jaka pora dnia we świecie szerokim, tej oto godziny.

Więźnia nie odwiedzali dozorcy, bo i cóż pilnować konania. Arcykapłan sam wziął klucz od grobu, zewnątrz na nim położywszy pieczęć świętego kolegium.

Skazaniec wodził oczyma długo po murach, a oczy same wbrew rozkazowi rozsądku i woli szukały, szukały pilnie, jak by i kędy uciec się dało, zwiedzały każdą szczelinę jak jar pełen bezcennych skarbów, zmierzły troskliwie rozmiar gęstych oczek silnej, żelaznej kraty, spróbowały mocy żelaza, najgłębiej się w tę rzecz zapuszczając... wreszcie... poszły na świat, za mury, tam, gdzie spadzisto zbiegają się w morze skały i dalej, brzegiem, gdzie piasek płukany tysiące razy falami, wyjałowiony do granic ostatecznych.

Nad morzem, idąc powoli, myśli więźnia jasne teraz i wyraźne ukazały mu tłum ludzi.

Pośrodku tłumy, na porzuconym przez morze tramie drzewa, nie wiadomo skąd, z odległości wielkiej przyniesionego, stał Saccidos i mówił:

— Jako ten belek, na którym oparte są stopy moje jest dusza nasza. Nie wiadomo, skąd przyszła, nie wiadomo dokąd i jaki prąd ją ponosi w przestrzeni... Ponad rozjęciem serc naszych wołających o odpowiedź, jako oliwa na wzburzonych falach unosi się WIELKIE MILCZENIE. Nie zmąci go jęk milionów, nie wzruszy płacz. Pod NIEWIADOMEGO strasliwym sklepieniem, nakryci gęstym oparem łez naszych trwamy, trwamy bez początku i końca, narodzin ni skonu nie świadomi, jak krople rzeki niewiedzące, gdzie i jakie płyną zalewać czy żyźnić łąki, jakie pustoszyć siedziby, jakie unosić kolebki z niemowlętami...

Istagogos uczuł wielki żal, wielkie współczucie. Oto człowiek, pomyślał, który snuje dalej mój płacz i prostuje ścieżki tęsknoty, by nie zagmatwały się dusze. Azaliż nie jest to drugi liść onego drzewa, o którym mówił arcykapłan... liść jednym ze mną przyniesiony wiatrem, czekający nowego podmuchu, by ulecieć nie wiadomo kędy?... I zebrawszy całą siłę woli, rzekł mu:

— Saccjdosie! Saccjdosie! Zaprawdę powiadam ci, rozplomieniał kierz¹⁰ tęsknoty, albowiem on ci jest WIELKIM HASŁEM, jakie ma być na równiach ziemi zapalone BOGU, na znak, że czas zniżyć! Saccjdosie! Powiadam ci, ty jesteś nowy Jan, a wodą chrztu jest ogień bólu!

Saccjdos pilnie nadsłuchiwał mówiącego doń dalekiego głosu. Twarz swą zwrócił w stronę więzienia i ręce wyciągnął, a w oczach miał taki blask i zachwyt, że słuchający go tłum padł na kolana, jak pada łan pod sierpem wichru przelatującego.

W tej chwili ukazali się od strony miasta zbrojni.

Istagogos ujrzał w ich rękach pletnie i uczuł naprzód smaganie, jakie zgotowane było Saccjdosowi.

Serce jego wezbrało gniewem wielkim, wznosił przeto ręce swe ku niebu i wykrzyknął:

⁹by — tu: niby, jakby. [przypis edytorski]

¹⁰kierz (daw.) — krzak. [przypis edytorski]

— O Boże! Skiń na mnie, bym poszedł na ratunek prześladowanym.

Ledwo wyrzekł te słowa, uczuł wielką lekkość, jakieś nienazwalne wyzwolenie, jakby go wir jakiś ciągnął kędyś, a on miał nakaz słuchać musu. Nie opierając się tedy, poszedł za tym nakazem.... przeniknął mury więzienia... począł iść ku morzu.

Sennie, niepewnie pamiętał jeszcze ostatnie spojrzenie rzucone po celi więziennej.

W czarnym lochu, który zalegał gęsty mrok, na tapczanie z twardych desek leżało nagle ciało człowieka, którego dawniej gdzieś widywał... tak... tak... widywał go, kiedy pochylony nad wodą przy brzegu umywał się o świcie w morzu.

Skierował się ku wybrzeżu.

Nagle, na zakręcie drogi, spoza klombu agaw wyniosłych ujrzał idącego samotnie człowieka.

Na głowie jego chwiała się szafirowa, arcykapłańska czapka. Szedł zadumany. W rękę kręcił wielki klucz, a u pasa święte pieczęci brzękały uderzając jedna o drugą. Drogocenna szata z bisioru wlokła się po ziemi w prochu.

Istagog ujrzał w duszy tego człowieka tęsknotę wielką. Klęczała we włosiennicy i wyciągnąwszy ku niebu splecione ręce, zawodziła: „Kędyż? Kędyż o Panie?”.

Wydawało mu się w tej chwili, że czystą jest i nie zaprzęgnie się, jak tylekroć do czynów marnych, niskich...

Wystąpił tedy na środek drogi i czekał z rozwartymi ramionami, gotów objąć, do serca cisnąć, przebaczać i wspomagać.

Ale jakby był jeno cieniem, przeszedł arcykapłan miejsce, na którym stał. Zmieszały się nawet ich stopy na chwilę. Potem Istagog ujrzał się samotnym. Arcykapłan znikł poza agawami, kierując się w stronę więzienia.

Wpatrywał się weń z natężoną uwagą a kiedy dusza zdawała się wracać w martwe, stężale ciało cichym piśszczotliwym głosem przemówił:

— Wszystko złe skończone. Przed chwilą napoiłem cię mlekiem. Będziesz żył, czy słyszysz?

Istagogowi rozradowało się serce, rozczulił się. Oto w wielkiej troskliwości arcykapłan poi go mlekiem, by żył. Rzekł mu więc:

— Bądź błogosławiony, iż masz duszę dobrą, ale czyż inaczej żyć bym nie był zdolny, pomyśl tylko, czyż nie obroniłem żebraka Sacejdosa, kiedy go pochwycić miano na męki, a przecież wtedy nie jadłem od pięciu dni i nie piłem.

— Nie rozumiem cię! — odparł arcykapłan. Patrzył nań zdumiony. Wreszcie uderzył nogą w posadzkę. Zjawił się we drzwiach żołnierz.

— Czy wróciła straż z więźniem Sacejdosem? — spytał go.

Żołnierz był błądy, zmieszany bardzo. Nie patrzył na arcykapłana, ale szeroko rozwarte i jakby niewidzące nic źrenice utopił w Istagogu. Stał jak skamieniały. Potem niby trzcina pod wiatrem zachwiał się i upadł na kolana. Ręce splecione wyciągnął ku więźniowi.

— Zmiłuj się, zmiłuj! — szeptały jego zbielejące wargi.

— Precz! — krzyknął zdumiony i przerażony nagle arcykapłan. Żołnierz patrzył na Istagoga, a więzień, wyciągnąwszy rękę, rzekł mu:

— Odejdź w pokoju!

Żołnierz znikł jak widmo.

Wówczas arcykapłan wstał z niskiego stołka, na którym siedział obok tapczanu więźnia, cofnął się o krok w tył i spokojnym, pewnym głosem zapytał:

— Więc powiedz, czego właściwie chcesz w zamian?

— Czego chcę? — powtórzył więzień. — Oto proszę, powiedz mi, azali¹¹ widziałeś mnie przed małą chwilą na drodze wiodącej ku morzu.

Arcykapłan patrzył nań teraz zupełnie, jak przed chwilą żołnierz.

— Spotkałem cię — mówił dalej Istagog — siedłeś samotny i zadumany w tę stronę. Na głowie twojej chwiała się szafirowa arcykapłańska czapka, w rękę kręciłeś wielki klucz, a u pasa święte pieczęcie brzękały jedna o drugą. Drogocenna szata z bisioru wlokła się po ziemi w prochu. Ujrzałem też na dnie duszy twojej tęsknotę płaczącą. Klęczała ona we włosiennicy odziana i wyciągnąwszy ręce ku niebu zawodziła:

¹¹azali (daw.) — czy; czyż. [przypis edytorski]

Kędyż? Kędyż o Panie?

Wystąpiłem na środek drogi i czekałem z rozwartymi ramionami, gotowy objąć i do serca cisnąć, ale jakbym był cieniem jeno, przeszedłeś przez miejsce, na którym stałem i ujrzałem cię samotnym. Odszedłeś, kierując się w stronę mego więzienia.

Zaległa cisza. Arcykapłan patrzył na więźnia jak skamieniały. Poprzez grube mury dochodził teraz niewyraźny, głuchy szmer, jakby tłum ludzi, niespokojnych, podnieconych oblegał budynek, żywo rozmawiając. Arcykapłan z każdą chwilą bleśszy, stał ciągle wpatrzony w Istagoga.

— Powiedz, czego chcesz? — powtórzył głucho.

— Chcę jeszcze, byś powiedział tęsknocie, klęczącej w więzieniu twej duszy: „Widzę, że czystą jesteś. Płacz tedy, pożądaj szczerze! Płon! Spłynie ci na czoło nowy chrzest Jutra, chrzest ognia, a on ci jest hasłem zapalonym na równiach ziemi, Bogu na znak, że czas wyzwalać”.

Arcykapłan nagłym ruchem podniósł ręce do głowy, zdjął swą szafirową arcykapłańską czapkę i klękając szybko, jakby padał, cisnął ten symbol władania duszami społeczeństwa pod stopy skazańca.

Istagoga serce wezbrało miłością. Wyciągnął ręce, objął szyję klęczącego, przyciągnął go do siebie i przykładając do białych policzków dostojnika swą twarz wynędziała, powiedział:

— O jakżeż pragnę, byśmy się porozumieli bracie! O jakże bardzo pragnę. Jakże niezmiernie gorąco pożądam godziny światłości dla promienia idącego ciemnią, przez nicość, jak mówi hymn stary, przez czyste źródło objawienia. O jakże chciałbym być najniższym z marynarzy WIELKIEGO OKRĘTU, któremu dana jest w rękę lina żagla... o jakżebym pragnął...

Obom spływały teraz gorące łzy po policzkach.

Trwali w bezsłownym zachwyceniu.

Szmer dolatujący z zewnątrz, nagle, bez przejść buchnął rozgwarem, jakby rozwarło grube drzwi. Zabrzmiały okrzyki, wrzask rósł, jak rośnie lawina... zatętniły sklepienia... pękły wreszcie ostatnie podwoje i rozżarty, pijany szaleńcem tłum ukazał się na progu kaźni.

Gorąco biło od stłoczonych ciał, żar buchał od dusz ogarniętych pożądaniem pomsty.

— Na krzyż! Na krzyż! — ryczał tłum.

Tak samo jednak rychło, jak wybuchły, głosy zamarły.

Zwite konwulsyjnie ciała zastygły w rozmachu.

Setka ócz wpatrzyła się w tych dwu klęczących na ziemi, w tych płaczących bez słowa, splecionych uściskiem.

Wreszcie Istagogos opanował wzruszenie, skinął na stojącego najbliżej.

— Bracie — rzekł mu — podaj oto tiarę arcykapłańskiej władzy. Nie trzeba, by się walała w pył.

Wziął ją ucałował ze czcią i włożył na głowę arcykapłana. Potem dał znak stojącym w odrzwiach i rzekł:

— Odejdźcie! Odejdźcie! Czuję krew! Dusze wasze cuchną krwią, której pożądały. Czyńcie pokutę!

Krew

— Wspomniany człowiek, przybyły ze stron jakoby nieznanymi, wedle zaś ścisłych badań wysadzony na ląd przez okręt, zdaje się łączyć w sobie cechy wariata z oznakami posuniętej daleko medialności. Tym wytłumaczyć sobie należy pewne, zresztą niedostatecznie stwierdzone przypadki jasnovidzenia, zdwojenia osobowości, poruszania przedmiotami na odległość i innych zjawisk analogicznych.

Święte kolegium nasze usiłowało rzeczono Istagoga użyć do świętych i wysoko założonych celów swoich. Spostrzegłszy, że posiada wspomniane właściwości uczyniliśmy go władcą... niestety nadaremnie.

Oskarżam tego człowieka, że ukrył przed nami swą duszę, a tajemnice święte oddać usiłował w ręce tłumowi...

Słowa oskarżenia tętniły głucho w podziemnej, nisko zasklepionej sali, gdzie zasiadał tajny sąd świętego kolegium.

Czarne kapy okrywały barki zebranych wysokich dostojników. Spod wielkich rogatych czapek spływały białe, długie włosy i brody.

— Przekonaliśmy się wreszcie — mówił dalej prokurator świętego kolegium — przekonaliśmy się dowodnie, że Istagogos nie myśli jak człowiek zdrowy. Czapką arcykapłańską pogardził. Nie chciał tedy być ani głową państwa, ani jego namiestnikiem.

Przytłumiony pomruk dał się słyszeć.

Zaduch wielki panował w mrocznej sali.

Gdzieś za ścianą grzmiały organy, jakby odprawiano tam nabożeństwo.

Od pułapu sklepionego nisko i rozpięcie, zwieszał się wielki, poczerniały świecznik, którego niezapalone lampy szarzały przez ciemń.

Ogromny refektarz, snac¹² średniowiecznego pochodzenia, który by czasu swego czynił wrażenie ciszy i bezpieczeństwa, był dziś jak grobowiec pełen żywych, skazanych na śmierć.

— Ale oto musimy uderzyć się w piersi — zawołał mówca.

Winniśmy, winniśmy po trzykroć.

Rozpętaliśmy burzę groźną.

Tłumy stoją po stronie szaleńca, przyłgnęły doń i czekają na objawienie z ust jego.

Nadchodzi czas zła...

Jęk żałobny przeleciał po sali. Głowy osędziałe pochylił wicher, co nagle, jak wilk o mroku zawył przeraźnie.

Czarno już niemal całkiem było. Nie rozeznałeś nic. Z nocy tej szedł głos oskarżyciela:

— Do tego doszło, że my, członkowie świętego kolegium, tutaj, w tej na poły podziemnej sali obradujemy, bracia nasi tam obok, narażając życie, ciszą tych z pospólstwa, którzy się jeszcze ciszyć dadzą... a całe społeczeństwo... cały kraj w rozpętaniu.

Grzmot oburzenia poleciał, warcząc rozgłośnie.

— Ale mamy w ręku zemstę — głosił mówca. — Nowy „Jan Święty”... Sacejdos, oto tam rozciągnięty na męce.

Nagle rozebrzmiał rechot złego śmiechu.

— W samej tej sali zemstę mamy naszą. W sali tej zaprawdę odbędzie się sąd nad jednym z winowajców.

— Na sąd! Na sąd! — wołano.

Zamieszanie nastąpiło wielkie. Radzono, rozprawiano, bojąc się świecić światła. Nikt już nie słuchał mówcy, którego jeno pojedyncze słowa słyhać było.

Ale nastąpiła rzecz dziwna, na którą nikt nie zwrócił zrazu uwagi. Czarność poczęła z wolna rzednąć, jak noc, gdy świt nadchodzi.

Z nicości poczęły z wolna występować luki sklepień, rozpościerać się ściany, nabierając złocień, polichromii, linii, gzymsów, zatok i wyskoków.

Dołem zaczerniła się wyraźnie masa ludzka.

Widać już było księżycowato wycinane czapki kapłańskie, tu i ówdzie zabłykotały frędzle kapy żałobnej lub srebrne jej lamowania. Wynikały z wolna z tej ciemni twarze. Wynurzały się blade, uczernione plamami ocz i ust zaciśniętych lub szeroko rozwartych w krzyku. W głębi, na podwyższeniu ukazał się tron połyskujący, na tronie zaś majaczyła szafirowa infula arcykapłana. Z prawej strony tronu, wysoko w powietrzu sterczała trybuna oskarżyciela.

Zatopieni w swych sprawach, zebrani nie widzieli nic, nie mieli oczu dla świata zewnętrznego.

Wreszcie jasność spoczęła u stopni tronu.

Coś zabielało.

Od tła odstawać poczęły kształty ludzkiego ciała, które nagie, wyciągnięte nadmiernie, nienaturalnie w tył rzucone, przygwożdżone się okazało do długiej deski opartej skośnie o podest tronu arcykapłana.

Był to Sacejdos, żebrak, który śpiewał o tęsknocie nad morzem.

Zył jeszcze, czy zmarł już na męce, nie było wiadome, bo ciałem jego nie wstrząsał ani dreszcz najmniejszy, z rozchyłonych warg nie ulatało najslabsze westchnienie.

¹²snac a. snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Wrzawa nie ustawała. Potworzyły się małe grupy. Radzono, spierano się, widać było żywe ruchy rąk i głów.

Światłość potężniała z każdą chwilą.

Jakby szło słońce, jakby się zbliżała jakaś ogromna kometa, jakby pożar jakiś ogarniał coraz bliższe stepy.

Nagle w szmer wmieszał się daleki, rozlewny rytm pieśni.

Falować zaczęło powietrze, jeszcze zanim tony nadbiegły z oddali wielkiej.

Zamotały się w tę falę słowa mówcy, pokryty został szeleszczący odgłos zmieszanych w dyskusji wyrazów i w chwili, kiedy na złotym świeczniku pierwsze zamigotały promienie światła, poprzez mury wtargnął akord śpiewu chóralnego, rozbrzmiewającego z wielu piersi.

Głowy się podniosły, ujrano zjawisko. Zapanowała śmiertelna cisza.

I w ciszy tej naglej, jak spóźnione w rozpędzie łodzie wyleciały na brzeg już po cofnięciu się fali, ostatnie słowa oskarżyciela.

A śpiew i jasność rosły i rosły.

Szła powódź rozśpiewanego światła, jakaś rzeka pozaziemska, przerwawszy groble przez Opatrzność założone, płynęła tutaj do podziemnej sali, groźna, strasząc, oniemiając. „O Panie! — brzmiało — O Panie

Kędyż posyłasz nas, wichry swoje?

Kędyż na wielki bój płyniemy oto duchy ducha niosące drogą przeznaczoną, niepisanych nawet we snach duszy człowieczej...”

Zakratowanymi oknami lała się światłość rażąca, mocna, jakby gęsta.

Powódź przybrała kształty tak realne, tak namacalne, że kapłani stali w śmiertelnej cichości zeszywniali, półmartwi.

Pieśń wypełniła salę, posadzkę zalewało światło, pryskając po ścianach, odbijając się od płaszczyzn, tworząc w wąwozach siklawy¹³.

Nie było ujścia.

Znikły już od jasności kontury sprzętów, zatoneły ich kształty.

A ponad rozpalonym płynem, niby słupy lagunów wbite kędyś we dno, tkwiły ludzkie, zwęglone strachem postacie.

I nagle puścili w osadzie kraty okien.

Wszystko jakby zastygło na chwilę, a na toni jasnej nagle zjawił się on, Istagogos.

Patrzący dojrżeli, jak podniósł ręce i usłyszeli głos, który mówił:

— Zbudźcie się!

Drgnęli wszyscy i uczyli ból wielki, jakby ich z martwych wyrwał na moment życia.

— Zbudźcie się i słuchajcie! Nie moją jest owa światłość, w której przychodzę, jeno Pańska, na świadectwo świata ujawniona i na uskromienie błędu! Daremneście tu słowa miotali, daremnie!

Nie przyszedłem zacierać ścieżyn Pańskich, ale całować każde odbicie jego stopy, wyciśnięte niezatarcie na ziemi i utrwalić je jeszcze łzami serca.

Jam jest liść onego mistycznego drzewa, które jest znakiem życia i samym życiem, a przywiał mnie wiatr musu, iżbym pokazał się i poszedł dalej dawać świadectwo chwili.

Przyjacielaście mi zabrali i ukrzyżowali we chwale, jakby był Synem Bożym.

Dzięki Wam! Dzięki! Bowiem wziął on z rąk waszych najwyższy chrzest bólu i oto teraz razem ze mną pójdzie w przestrzeń, gdzie iść ma od wieków.

Idę i zostawiam za sobą jasną smugę.

Idę i zostawiam za sobą drogę dla tęskniących.

Bądźcie uzdrowionymi na duchu...

Zwrócił się do umęczonego i wyciągnął doń rękę:

— Pójdź przyjacielu! — rzekł. — Wstań!

Sacejdos odstał od deski, odjął od niej ręce i nogi i postąpił ku Istagogowi.

— Pójdź przyjacielu! — powtórzył. — Pora nam przetrzeć oczy po krótkim śnie życia na tej ziemi.

Skinął ręką ku oknom, a oczy wszystkich poszły za tym gestem.

¹³siklaw (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]

W dali, na morzu, które się stąd ciemnym wydawało, zamajaczył wielki okręt kołysany falami.

I znowu zabrzmiał hymn, a na jego jakby fali poczęła się zbliżać ku oknom mała, złocista łódź.

Dwu białych młodzieńców stało w niej, z oczyma utkwionymi w punkt, do którego im przybić rozkazano.

„Jako oddech TWÓJ jest świat — brzmiało powietrze — jako tchnienie TWE jawi się życie i jako nicość jest gdy zechcesz a wciągniesz w głąb swoją wszystkie zjawy, wszystkie znaki Bytu”.

Istagogos, objąwszy ramieniem Sacejdosa, stał na poły zwrócony ku oknu bliższemu tronowi, na którym zmarłego arcykapłana tkwiły zwłoki.

Oczyma szukał czegoś na horyzoncie.

I oto nagle na ustach jego wybiegł uśmiech radosny.

Wysoko, pod masztem okrętu, widoczny wszystkim innym, stał kapłan w białej szacie. Wzniesione jego ręce nawet w tej światłości białe wysyłały promienie. Rękawy szerokie polatywały jak mewy na wietrze.

Do światła tego rwała się dusza pielgrzyma, leciały doń wszystkie tęsknoty jego jak łódki zabłąkane do kręgu oświetlonego promieniami latarni morskiej.

Łódź zarzuciła kotwicę u okna. Nie puszczając towarzysza, wstąpił w nią Istagogos i rzucił w głąb ostatnie spojrzenie. Nieruchomi, popaleni na śmierć, tkliwi w posadze starcy, jak drzewa dokoła pożartych ogniem chat wioski.

Nie mając już do kogo mówić, w milczeniu zwrócili się pielgrzymi ku okrętowi niesionemu przez wzburzone fale.

Gdy łódź odbiła od brzegu, Istagog jednym ruchem zerwał ze siebie szatę i ciskając ją na wodę, zawołał:

— Jako tę szatę rzucam ci ziemio imię moje i losy dziś dokonane. W bezimiennej jaśni powracam na łonie życia, liść drzewa, który wiatr przeznaczenia pędzi.

Odpywali z wolna ku okrętowi.

Morze niespokojne było.

Czarne zwały fal przelewały się, dęły i rozluźniały na przemian, podobne muskułom olbrzymiego ciała, gorączką trawionego, podobne rytej histerią twarzy, myśli wichrem brużdżonemu czołu... Na grzbietach fal biała strzępiła się piana.

Pociemniało już znowu, stare, odwieczne niebo.

Noc nachodziła świat burzliwa, zradna, żadna łupu, kryjąca zamachy w sobie, do złego skłonna.

Pomału, ostrożnie zstępując ze śliskich grzbietów fal w parowy płynne, migotliwe, nawet w tej omroce, to znowu dźwigając się na wyże, nie wiadomo skąd się biorące, po szafirowym morzu płynął okręt.

Śmigłe maszty darły się wysoko w górę, dęły się białe na zieleni ciemnej toni żagle, skrzypiały reje, a z pokładu, zapełnionego tłumem postaci ludzkich, dochodziły dźwięki poważnego hymnu o modlitewnych akordach.

Oddechem Brahmy jest to, co jest, a nic innego w przestrzeni.

O Panie, kędyż wysłałeś nas, tchnienia swoje?

Kędyż na wielki bój, na spełnienie chwili następnej płyniemy oto po ciemku, duchy ducha niosące bezmiernym gościńcem stawania się, szlakami, kędy nie stąpa nawet myśl śpiącego u stóp tronu TWEGO archaniola...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-gosciniac-dusz>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Patrick Hoesly@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).